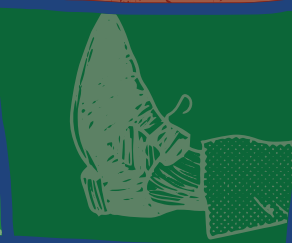


*n, kto ma wsz
to potrafi*



*est ten, kto ma wszystko.
en, kto potrafi*

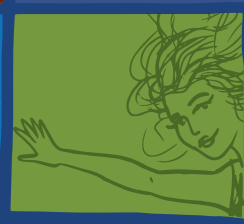


*Szczęśliwym
docenić to, c
autor niezna*

*Szczęś
Szczęś
docenić*



*Ludzie [...] t
właśnie piękn*



Pudełko CZEKOLADEK

24 opowiadania



*Kiedy czyj
– to jest m
Lana Del F*



*y czyjeś szczęś
jest miłość.
a Del Rey*

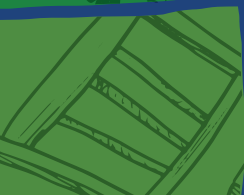
*rzydeł. I to jest
bez skrzydeł*



*skrzydeł. I to jest
się bez skrzydeł*



*właśnie piękn
i wyhodowa
José Sarama*



Ilustracje, projekt okładki, DTP: Marek Regner
Wybór i opracowanie: Agnieszka Niegowska
Korekta: Zespół wydawnictwa SBM

ISBN 978-83-8222-679-9

Opowiadanie 3 (*Pan Parasol* Zośki Papużanki z 2020 roku) pochodzi z Wolnych Lektur (<https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/papuzanka-pan-parasol.html>) i jest objęte licencją – jest darmowe, można je kopiować, rozpowszechniać i przekształcać na warunkach Licencji Wolnej Sztuki 1.3 (<https://artlibre.org/licence/lal/pl/>).

Pozostałe opowiadania będące podstawą wyboru dostępne są w domenie publicznej i pochodzą z Wolnych Lektur (1, 2, 4, 5, 6, 7, 9, 10, 12, 13, 14, 15, 16, 18, 21, 22, 24) oraz z Wikisource (8, 11, 17, 19, 20, 23).

Copyright for the cover, layout and illustrations by
© Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., Warszawa 2022
Wydanie I
Wydrukowano w Polsce



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl



*Życie jest jak pudełko czekoladek
– nigdy nie wiesz, co Ci się trafi.*

Winston Groom, *Forest Gump*

SPIS TREŚCI

1. HISTORIA ROKU Hans Christian Andersen
7
2. KWIAT PAPROCI PANA LEONARDA Helena Pajzderska (Hajota)
19
3. PAN PARASOL Zośka Papużanka
31
4. DZIWNA HISTORIA Bolesław Prus
45
5. WRÓŻKA PAŃSTWA ANDRZEJÓW Józef Birkenmajer
59
6. PIERZCHLIWE DZIECKO Helena Pajzderska (Hajota)
93
7. DZIECI TO... Janusz Korczak
105
8. NAWRÓCONY Bolesław Prus
111
9. TRZY FILIŻANKI CZARNEJ KAWY Helena Pajzderska (Hajota)
143
10. KRASNOLUDEK Hans Christian Andersen
157
11. SHERLOCK HOLMES W WARSZAWIE Leo Belmont
165
12. WYMARZONE SPOTKANIE Helena Pajzderska (Hajota)
189
13. APTEKARZOWA Anton Czechow
215

14. PAN GAWRON – WRÓG MIŁOŚCI Czesław Halicz
223
15. WYŻEBRANA GODZINA Helena Pajzderska (Hajota)
233
16. CHOINKA Hans Christian Andersen
253
17. PAN GRUBOPIŁASKI Klemens Junosza
267
18. UKŁON Helena Pajzderska (Hajota)
283
19. ROZKOSZE WYBORCZE Mark Twain
307
20. UWODZICIEL W PUŁAPCE Kurt Matull, Matthias Blank
315
21. POWOŁANIE Janusz Korczak
363
22. PRZECIĄGNIĘTA STRUNA Helena Pajzderska (Hajota)
371
23. TAJEMNICZA MISJA PANA DUMPHRY Barry Pain
437
24. WYSTAWA W BEZRADNOWIE Helena Pajzderska (Hajota)
457



*Umieć wykorzystać czas
– to jest szczęście.*

Ralph Waldo Emerson

1.

Hans Christian Andersen

HISTORIA ROKU

Tłumaczyła Cecylia Niewiadomska

Był styczeń. Od rana srożyła się straszna zadymka, śnieg pędził przez ulice całymi chmurami, sypał z dachów, uderzał w szyby, bił przechodniów po twarzy, to znowu wirował w powietrzu, wichrem kręcony. Ludzie biegli skuleni, śpiesząc się niesłychanie, mrużąc oczy, wpadając na siebie co chwila i ostrożnie rozchodząc się w strony przeciwne, aby nie upaść od zdradzieckich, silnych porywów wiatru. Powozy i konie wyglądały jak cukrem posypane, lokaje odwracali się bokiem do wiatru, stangreci wytężali siłę i uwagę, aby kogo nie przejechać, choć konie posuwały się bardzo powoli, tonąc w głębokich zaspach.

Prawdziwa burza śnieżna.

Uspokoila się wreszcie pod wieczór, odmieciono ścieżki pod ścianami domów, ale tak wąskie, że jeśli na której spotkało się dwoje ludzi, to stali dość długo naprzeciw siebie, gdyż żaden z nich nie miał odwagi wstąpić w śnieg głęboki.

Wieczór był już pogodny, ani cienia wiatru, niebo czyste, jakby kto wymiół obłoki, usypane gwiazdami, które świeciły tak jasno, jak gdyby je wyczyszczono świeżo podczas burzy. Mróz ścinał śnieg, który skrzypiał pod stopami. Nad ranem był tak twardy i ścięty skorupą lodową, że wróble mogły skakać po nim, szukając pożywienia, którego nie było.

– Pi, pi! – odezwał się jeden żałośnie. – To mi piękny Rok Nowy! Stary był daleko lepszy i mógł sobie zostać jeszcze. Ten mi się wcale nie podoba i mam chyba prawo na niego narzekać.

– Tak, tak – potwierdził drugi – ludzie narobili tyle hałasu, witając go aż wystrzałami. Nie wiedzieli sami, co robić z radości, że sobie stary poszedł. Ja cieszyłem się także razem z nimi, bo myślałem, że zaraz nastąpią dni ciepłe... a tymczasem nic z tego! Zimniej jeszcze, niż było. Ludzie widocznie pomylili się w rachunku.

– Naturalnie – pisał trzeci, stary, mądry wróbel, nieco siwy na czubku. – Ludzie myślą się bardzo często. Zrobili sobie coś takiego, co nazywają kalendarzem, i zdaje im się, że cały świat będzie stosował się do ich wynalazku. A świat ma swoje prawa. Kiedy nadejdzie Wiosna, wtedy się zacznie Rok Nowy: tego nikt nie odmieni i ja też tak czas liczę.

– Ale kiedyż ta Wiosna przyjdzie? – dopytywały inne.

– Przyjdzie ona, kiedy bociany powrócą; na pewno czasu określić nie można, szczególnie tu w mieście... tu o tym nikt nic nie wie... na wsi lepiej się znają na tych rzeczach. Może lepiej tam się udać i zaczekać na nią? Zawsze ona tam bliżej.

– Bardzo to pięknie – pisał inny wróbel, który skakał dokoła, ćwierkając coś sobie, ale dotąd nie odzywał się wyraźnie. – Bardzo to piękny pomysł – powtórzył. – Może dowiecie się tam czegoś pociesającego, ale ja nie polecę. Mam tutaj w mieście wiele dogodności, których bym nie znalazł na wsi. Niedaleko, na przykład, mieszkają tu ludzie, którzy sobie wymyślili bardzo rozsądną

zabawkę: zawiesili na murze kilka doniczek od kwiatów w ten sposób, że wielki otwór przylega do ściany, a tylko mały w denku zwrócony jest na świat. Przez ten mały otworek można się dostać do środka i mieć bezpieczne schronienie przed śniegiem. Gdzież na wsi znajdę podobne mieszkanie? Tutaj bardzo nam dobrze i wygodnie z dziećmi, a chociaż wiem, że ludzie nie zrobili tego dla nas, tylko dla własnej przyjemności, pochwalić ich za to muszę. Sypią nam też czasem okruszyny chleba, gdyż przyjemnie im patrzeć, jak kręcimy się i zajadamy. To wszystko są ważne rzeczy i nie można ich porzucać lekkomyślnie. Toteż pewna jestem, że mój mąż zostanie w mieście, więc naturalnie i my zostaniemy.

– A my lecimy na wieś dowiedzieć się czegoś o Wiośnie – zaszczębiotało chórem kilka młodych wróbli i odleciały zaraz.

Na wsi mróz był większy, a wiatr ostry i przenikliwy pędził białe tumany przez pola śnieżyste. Drogą na wozie jechał chłop w kożuchu i czapce baraniej, bijąc się po ramionach, aby rozgrzać ręce w grubych, ciepłych rękawicach; bat spokojnie leżał obok; chude konie biegły w kłębach ciepłej pary.

Śnieg skrzypiał pod kołami, a wróble skakały za wozem, zziębnięte i zmęczone.

– Pi, pi! Kiedyż tam przyjdzie znowu Wiosna? Pi, pi! Tak długo już na nią czekamy!

– Długo, długo! – powtórzył jakiś głos przeciągle, który zdawał się płynąć z pobliskiego wzgórza, podobnego do góry śnieżnej.

Może to było echo, a może głos starca siedzącego na wzgórzu mimo wichru i zamieci: w białej odzieży, cały śniegiem osypany, zdawał się białym królem, który z wysokiego tronu patrzy na swoje państwo. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, biała broda piersi zasłaniała i tylko jasne oczy świeciły jak gwiazdy lodowe.

– Co to za starzec? – świergotały wróble.

– Ja wiem! Ja wiem! – zakrakał stary kruk na płocie, ptak niezmiernie rozumny, który też nie gardził najdrobniejszym ptaszkiem, bo wiedział, że wszystkie równe są w oczach Boga. – Ja go znam – odpowiedział też wróblom. – To Zima. To staruszek Rok Stary, który nie umarł wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, ale jako opiekun młodej Wiosny oczekuje tu na nią. Hu! Co za mróz. Zimno wam, dzieciaki?

– O, zimno! Ale wszyscy świadczcie teraz, że miałem słuszość, mówiąc, że kalendarz to wymysł ludzi, którzy chcą rządzić Naturą, a naprawdę sami o niczym nie wiedzą. My się z nią lepiej znamy, my, jej dzieci.

Upłynął tydzień, drugi, trzy tygodnie. Żadnej zmiany. Staw wielki, zamrożony patrzył w niebo martwą żrenicą: w powietrzu unosiły się mgły wilgotne, zimne: ciemne chmury wron bez krakania, milczące, przeciągały ponad białą ziemią. Wszystko spać się zdawało.

Wtem błysnął promień słońca, przemknął po jeziorze, które zajaśniało, niby żywe srebro; białość pól pociemniała, wierzchołki pagórków wysunęły się ciekawie spod śniegu. Lecz biała postać starca pozostała wyczekująca na najwyższym wzgórzu, z oczyma zwróconymi w stronę południową. I patrząc tam, nie widział, jak kobierzec Zimy zniknął nieznacznie, cieniał, tonął w ziemi, aż tu i ówdzie ukazały się miejsca zielone, na których zaroilo się zaraz od wróbli.

– Kiwit! Kiwit! Czy to Wiosna już przybywa?

– Wiosna! – powtórzyło długie, długie echo, a wiatr niósł je daleko, przez łąki i pola, przez lasy ciemne, pełne mchów zielonych, które garbiły się na starych drzewach.

Nagle z południa, w jasnych blaskach słońca ukazały się dwa pierwsze bociany; niosły na skrzydłach dwoje ślicznych dzieci: chłopczyka i dziewczynkę. Stanęły na łące, a dzieci zeskoczyły z nich leciuchno i tuląc się do matki-ziemi, ucałowały ją na powitanie.

Potem szły dalej, wzięwszy się za ręce, a gdzie stąpnęły ich nóżki maleńkie, kwiat wyrastał spod śniegu. Pełne uśmiechów biegły wesoło do wzgórza, gdzie siedział biały starzec i radośnie rzuciły się ku niemu.

Ale w tej samej chwili gęsta mgła wilgotna zakryła wszystko: nic nie było widać. Wtem zahuczał gwałtownie wiatr potężny, uderzył czołem w ciężki płaszcz mgły szarej, rozerwał go, poszarpał. Zajaśniało słońce ciepłe i jasne; z wysokiego wzgórza zniknął starzec, Rok Stary, a dwoje ślicznych dzieci zajęło jego miejsce.

– To mi Rok Nowy! – zaśpiewały wróble. – To prawdziwy Rok Nowy! Ten nam zapłaci za wszystkie przykrości, jakie wycierpiałśmy pod rządami Zimy. To Rok Nowy!

Wszystko dokoła stroiło się i zieleniło; gdzie zwróciły się oczy ślicznych dzieci, tryskały pączki zielone z gałązek, podnosiła się trawka zielona ku górze, zieleniały pola uprawne. Dziewczynka rozśmiała się i drobnutką rączką rzuciła pierwszą garść kwiatów na ziemię: miała ich tyle na lekkiej sukience! Sypała hojnie pełnymi rączkami, a wciąż ich miała mnóstwo nieprzebrane: podniosła się na koniec i obłoki kwiatów rzuciła precz, daleko, na grusze, jabłonie i drzewa owocowe, które stanęły białe jak pod śniegiem, że nawet ich listków zielonych widać nie było.

Dzieci klaskały w ręce. Całe stada ptasząt unosiły się ponad ich główkami, a wszystkie szczebiotały: Wiosna! Wiosna! Wiosna!

Ślicznie było na świecie. Z chat wychodziły siwe staruszki, zgarbione, pomarszczone i prostowały się na ciepłym słońku, i wygrzewały się w jego promieniach, i z rozkoszą patrzyły na pola i łąki, na żółte kwiatki, rozsiane tak hojnie, jak za dni ich młodości. Wszystko jak było dawniej, piękne, świeże, nowe. Błogosławiona Wiosna!

Las ciemny jeszcze, pączki tylko na gałęziach, ale duch życia i tu już przeniknął, pachnie w powietrzu.

Niebieskie fiołki wysuwają kępami swoje wonne główki z zielonego ukrycia, a dalej prymulki, konwalia biała, zawilec gajowy, sasanki, każde źdźbło trawy pełne sił i soków.

Para dzieci na wzgórzu rośnie także szybko, śmiejąc się i śpijąc: płyną daleko wesole ich głosy.

Ciepły, łagodny deszczyk spadł na ziemię, ożywia na niej wszystko: każda kropelka to błogosławieństwo; wiele ich pada i na głowy dzieci, ale nie czują tego, bo łzy deszczu na ich twarzy mieszają się ze łzami szczęścia. Dzieci złączyły usta pocałunkiem i las zazielenił się w tej samej chwili.

Dzieci wstały z pagórka, wypoczęły i wyrosły. Jakie duże! To już para narzeczonych. Ujęli się za ręce i jak do ślubu idą, strojni w kwiaty, wśród kwiatów. Las rozwił nad nimi zielone sklepienie, na cichej ścieżce tylko promienie słoneczne i plamy cienia igrają z wietrzykiem. Jaki rozkoszny zapach młodych liści, jakie powietrze czyste i orzeźwiające! Pośród sitowia szemrze po kamieniach strumyk przejrzysty: jak wąż błyszczy łuską, tak on odbija promienie słoneczne, gdy się wychyli z gąszczy i przemyka po jaśniejszej polanie.

Wszystko żyje, drga życiem, wszystko się rozwija, rośnie, rozlewa wonie jak uśmiechy szczęścia i czuje w sobie nieśmiertelność.

Skowronek dzwoni wysoko nad polem, kukułka woła głośno, zlewają się w cudowną harmonię radosne głosy wilgi, czyżyka, kosa, pliszki małej. Wiosna! Wiosna! Wierzba tylko nie zdjęła z pączków rękawiczek z ciepłej, białej bawełny: bardzo jest przezorna, ale to nudne!

Upłynęły dni, tygodnie...

Coraz cieplej: gorące prądy płyną przez łąki i pola, żółkną zboża. Na cichych jeziorach rozpostarły się szerokie liście wodnych lili, pod którymi szukają cienia drobne rybki podczas skwarne południa. I cisza. Tylko brzęczenie owadów, wytrwale pracujących koło kwiatów; tylko blask, upał.

Na skraju lasu, skąd widok rozległy na chaty wiejskie kąpiące się w słońcu, na sady i ogrody, girlandy róż świeżych jak rumieniec dziewczęcia, na owocowe drzewa i wiśnie czerwone, soczyste, ciężkie wśród zielonych liści – na skraju lasu siedziała niewiasta. Piękna jest, młoda. Znamy ją: to ona przybyła tak niedawno jako dziecko małe, sypiąc kwiaty. Teraz wzrok jej śmiały zdaje się mierzyć czarne, ciężkie chmury, które się wznoszą z trzech stron coraz wyżej, wyżej, jak skały, jak góry olbrzymie. Niby wezbrane, czarne, skamieniałe morze, schylają się nad lasem i ku niemu płyną.

W lesie umilkło wszystko, jak przez czary; wietrzyk nawet swawolny poruszyć się nie śmie, siedzi gdzieś przyczajony: żaden listek nie drgnie, ucichły świergotliwe ptaki. Cisza, cisza... W całej naturze cisza i oczekiwanie, pełne skupionej, milczącej powagi.

A ludzie śpieszą. Na drogach, na ścieżkach pełno jezdnych i pieszych, każdy pod dach dąży, szuka schronienia.

Rozjaśniło się nagle, jakby słońce pękło i błysnął płomień straszliwy, niszczący, oślepiający wszystko... I znowu ciemność, tylko grom potężny ozwał się groźnie, głucho.

Woda strumieniem spływa z niebios na ziemię. Światło i ciemność, cisza i grom znowu. Kwitnąca trzcina chwieje się na ciemnym błocie jak rozbujane morze, las tonie w ulewie, mgłę, smugach deszczu: światło i ciemność co chwila; cisza i gromy, niby skał łamanie.

Trawy i zboża przyłgnęły do ziemi, jakby przybite, jakby się już nigdy podnieść nie miały po straszliwej klęsce.

Lecz oto strugi wody zmieniają się w krople, błysnęło słońce, niebo uśmiecha się znowu, na każdym listku perły i diamenty, ptaki śpiewają, rybki wyglądają z wody, mkną w różne strony z podwójną szybkością, brzęczą komary nad wilgotną łąką.

Nad brzegiem morza, na wielkim kamieniu usiadło Lato – silny, dorodny mężczyzna, o mokrych włosach po świeżej kąpieli. Woda spływa z niego, lecz słońce go grzeje; czuje się odmłodzony,

pełen siły. I cały świat dokoła czuje się młody i silny, bogaty, piękny, pełny darów bożych.

Piękne, gorące Lato!

Słodki zapach płynie z pola koniczyny, miodowy zapach; roje pszczoł brzęczących uwijają się nad nim, gromadzą zbiory. Koląca jeżyna kamień ofiarny opłotła zielenią, kamień obmyty deszczem i słońcem oblany. Tu pszczoł królowa śpieszy ze swym rojem złożyć ofiarę z wosku i miodu słodkiego. Lato przyjmuje ją wdzięcznie wraz z żoną; oni lepiej od ludzi pojmują Naturę i więcej widzą.

Błysnęły złote gwiazdy na wieczornym niebie, zajaśniał promieniami złoty krzyż na szczycie wieży kościelnej: jasny księżyc świeci między wieczorną zorzą a jutrenką. To Lato!

Upłynęły dni znowu, upłynęły tygodnie.

Jasne sierpy żniwiarzy błysnęły po polach, w sadach gałęzie drzew gną się ku ziemi pod ciężarem owocu, chmiel rozwiesza bogato swe kiście pachnące, pod liśćmi leszczyny kryją się gniazda orzechów.

Tu zasiedli mąż i żona, już nie dzieci i nie młodzieńcy, silni, piękni, dojrzały ludzie. Patrzą na świat dokoła, rozmawiają.

– Jakież bogactwo wszędzie! – szepnęła kobieta. – Błogosławieństwo Boże! Dostatnio, miło, dobrze, a jednak... a jednak... ja sama nie wiem, czemu tęsknię do spoczynku, do spokoju, do ciszy. Nie umiem określić dobrze tego dziwnego pragnienia... Patrz, tam orzą znowu! Ludziom nigdy nie dosyć, zawsze pożądają więcej. Patrz, bociany idą z daleka za pługiem, ptaki egipskie, które nas przyniosły tu jako dzieci. Czy pamiętasz tę chwilę? Nasze przybycie tutaj? Przynieśliśmy blask słońca, zieloność i kwiaty: i wszystko było takie strojne, świeże. Dziś pociemniało, wiatr rozmiata liście, szerniały lasy, utraciły barwy, nie zdobią ich w tym kraju złociste owoce...

– Chcesz złota i purpury? – zapytało Lato i wyciągnęło ramię ku polom i lasom. A w tej chwili bogactwo barw nowych okryło

wszystkie drzewa: krzaki róż zajaśniały głogiem purpurowym, winnice okryły się złotem i szkarłatem, z drzew kasztanowych spadał deszcz ciemnych owoców, w lasach zakwitły powtórnie fiołki.

A Królowa Roku była blada i milcząca.

– Zimno – szepnęła. – Wiatr chłodny. Nocami pada mgła wilgotna. Zimno mi, tęskno... do naszej ojczyzny...

I smutnymi oczyma żegnała bociany, lecące na południe, żegnała każdego i smutnie ku nim wyciągała ręce.

Odleciały. Na drzewach, dachach domów gniazda puste; w jednym wyrasta wysoki kłos żyta, w innym rzepak kwitnący. Wróble krążą ponad nimi.

– Pi, pi! A gdzież to państwo gospodarze? Niewygodnie im tutaj? Wiatr za chłodny? Więc kraj ten opuścili? Szczęśliwej podróży!

Las zmienia barwy; żółknie i ciemnieje: liść spada suchym deszczem, wiatr jesienny świszczy, porywa resztę.

Późna Jesień. Królowa Roku spoczywa znużona na posłaniu z mchu i siana, smutnie patrzy w gwiazdy. Mąż stoi przy niej. Wiatr ostry przemknął pomiędzy drzewami i zabrał chmurę liści; na gałązce obnażonej usiadł motyl, może ostatni motyl tego roku.

Upłynęły dni i tygodnie.

Mgła wilgotna i chłodna owijała ziemię mokrą chustą, wiatr niósł lodowe igły, noce stały się długie, ponure. Pan, władca roku, sam stanął wśród pola; biały włos mu opada na ramiona, ale on nie wie o tym, myśli, że to płatki śniegu, które z chmur spadają i cienką warstwą okryły już pola.

Dzwon z kościółka ogłosił wieczór wigilijny.

– Oto dzwon Narodzenia – szepnął do siebie Król Roku. – Za chwilę mój następca przyjdzie na świat, a ja będę mógł odejść, tak jak żona moja. Na spoczynek ku jasnym gwiazdom!

Pod zieloną sosną, na której śnieg leżał, w głębi lasu stał Anioł z białymi skrzydłami i zwiastował młodym drzewkom wesołą nowinę.

– Radość ludziom i ptakom, i drzewom zielonym, i wszelkiej żyjącej na ziemi istocie! – wyrzekł starzec na wzgórzu, skąd panował wzrokiem nad całą okolicą. Dla mnie wybiła godzina spoczynku... Nowy Król i Królowa otrzymują berło, władzę nad światem.

– Władza przy tobie jeszcze – odpowiedział Anioł – ona, a nie spoczynek jeszcze twym udziałem. Czuwaj, aby śnieg, leżąc na ziemi, ogrzewał młode zasiewy. Spełniaj obowiązek już nie jako władca, ale jako podwładny. Ucz się żyć nie dla siebie, o sobie zapomnij! Godzina wyzwolenia dla ciebie wybije, kiedy się Wiosna zjawi.

– Kiedyż ona przyjdzie? – zapytała Zima.

– Gdy bociany powrócą.

Na wysokim pagórku siedzi starzec pochylony, w białej odzieży; długie białe włosy spadają mu na plecy, biała broda piersi osłania. Ciężar przebytych dni spoczął na barkach jego i przygniótł je mocno, lecz władza jego potężna jak wichur, co burzę niesie śnieżną, jak lodu okowy.

Siedzi na wzgórzu przygarbiony, cichy i patrzy na południe, jak jego poprzednik. Śnieg skrzypi, a lód trzeszczy pod nogami, łyżwy rysują błyszczącą powierzchnię zamrzłego jeziora. Kruki i wrony tworzą plamy czarne na białym śniegu... I ta cisza... Zima ścisnęła pięść i lód grubiej, łączy mocno ląd z lądem.

Wtem z miasta przyleciały stadem wróble i zobaczywszy starca, zapytały:

– Kto to?

A kruk na płocie – ten sam albo inny, lecz zupełnie podobny – odpowiedział znowu:

– To Zima, to Rok Stary: nie umarł on wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, lecz oczekuje tu na młodą Wiosnę, której jest opiekunem.

– A kiedyż ona przyjdzie? – dopytywały się wróble. – I my czekamy na nią, bo z nią zaczną się lepsze czasy, lepsze panowanie. Stary już do niczego.

Starzec w zadumie patrzył na las poczerniały, огоłocony z liści, na gałęzie nagie, ale kształtne i silne, pnące się ku górze, i głowa z wolna na pierś mu opadła. A nad lasem zawisła mgła zimna, lodowa i powoli spuszczała się ku ziemi.

Tymczasem stary władca śnił o dniach młodości, o dniach pocucia siły i dniach szczęścia; a nazajutrz o świcie las stał jak marzenie, biały i czysty, strojny brylantami szronu, uroczy niby zaklęte królestwo.

To sen zimowy.

Słońce otrząsnęło biały szron z gałęzi.

– A kiedy przyjdzie Wiosna? – świergotały wróble.

– Wiosna! – powtórzyło echo od pagórka.

– Wiosna! – rozlegało się w lasach bezlistnych.

– Wiosna! – mknęło przez pola daleko, bez końca.

Słońce błysnęło cieplej, śnieg pociemniał, ścieniał, ptaki zaświergotały:

– Wiosna! Wiosna! Wiosna!

Wysoko od południa leci pierwszy bocian, drugi tuż za nim; na szerokich skrzydłach niosą dwoje dzieci. Zatrzymały się na szerokiej łące, dzieci witają ziemię pocałunkiem, a potem śpieszą do białego starca. Mgła zasłoniła wszystko. Czy wraz z nią wiatr unioś sędziwego władcę, który siedział na pagórku?

Ślad po nim nie pozostał.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze! – szczebiotały wróble. Wszystko to bardzo pięknie, lecz zupełnie nie podług kalendarza, który wszystko przekreśla.





*Przewędrowawszy świat w poszukiwaniu
szczęścia, spostrzeżesz, że ono stało
na progu twego domu.*

prysłowie afrykańskie

2.

Helena Pajzderska (Hajota)

KWIAT PAPROCI PANA LEONARDA

ze zbioru opowiadań *Wyżebrana godzina*

Pan Leonard jest młodzieńcem pod każdym względem bez zarzutu. Patrząc na niego, żal bierze, że go nie można, niby wielki wzór kaligraficzny, wypisać u nagłówka kajetów życia (gdyby takie po składach materiałów piśmiennych sprzedawano) wszystkich innych synów naszego grodu, by kopiując linijkę za linijką, doszli do podobnej doskonałości.

Młodzieniec ten nie zna drogi do żadnego z najbardziej nawet renomowanych lombardów, nie kryje się na widok żadnego najcharakterystyczniej nawet orlego nosa, nie traci czasu na ustawiczne poszukiwanie krawca, który by opłatę jednego garnituru rozłożył na trzy lata, nie pali więcej nad sześć papierosów dziennie, nie nosi laski ani parasola pod pachą, nie spóźnia się do swego biura więcej nad pół godziny, bywa przynajmniej raz na tydzień w „Nowościach”, a raz w miesiącu w „Rozmaitości”, lubi *Halkę* i *Violettę*, a także walca z *Wesołej wdówki*, choćby granego na gramofonie,

wreszcie odwiedza sumiennie każdą wystawę, jaką Warszawa zechce go uszczęśliwić.

Jest optymistą na punkcie swego rodzinnego miasta. Zimą patrzy z pobłażaniem na góry brudnego śniegu przed trotuarami, nawet gdy mu nie pozwalają dojrzeć, co się pomiędzy ich pasmami dzieje, latem z równą pogodą umysłu łyka kurz i pozwala stróżom oblewać się wodą, a murarzom wapnem; z lubością śledzi naprawę bruków na pryncypalnych¹ ulicach, twierdząc, że co ma być dobrze zrobione, musi być robione wolno, a podmiejskie kolejki mają w nim zapalonego zwolennika i obrońcę.

Pomimo że skończył już dwadzieścia osiem lat, żyłka awanturnicza nie zawiodła go nigdy dalej niż do Konstancina, Wilanowa lub Milanówka, skutkiem czego wieś przedstawia mu się w kształtach dziwnie fantastycznych i niejasnych, a każdy las widziany z daleka przejmuje go takim uszanowaniem, z jakim zapewne amerykańscy pionierzy spoglądali na zastępujące im drogę żywe mury lianów.

Wprawdzie jeden z jego dalekich krewnych, mieszkający na Wołyniu, pisze do niego rok rocznie około św. Jana, zapraszając do siebie na wieś na kwaśne mleko i poziomki, ale pan Leonard, choć w Chinach nie przebywał, zna się na chińskiej gościnności i wie, że gdyby ten kuzyn, obarczony liczną rodziną, mieszkał na przykład w skierniewickim, nie rozczuliłby się ani razu nad nadzieją (mogącą się wtedy łatwo ziścić) używania z kochanym Leonardkiem kwaśnego mleka i poziomek – więc też z chwalebną roztropnością przechodzi nad tym wezwaniem z oddali do porządku dziennego.

Zresztą ma dosyć zajęcia latem w Warszawie, chodzi bowiem co wieczór ze swoją narzeczoną i jej mamą na spacer do botanicznego ogrodu, a co niedziela wozi je najmniej przepełnionymi pociągami. O! Bo pan Leonard i pod tym względem jest przykładny i w zdrożnym

¹ *Pryncypalny* – daw. główny (jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od wydawcy).

celibacie trwać nie myśli; ale rok temu już zaręczył się z bardzo przystojną panienką, której procent od posagu równa się jego pensji (dwa tysiące rubli, nie licząc diet, w jednym z towarzystw ubezpieczających), a jeśli się nie żeni jeszcze, to dlatego, iż czeka cierpliwie na śmierć mocno schorzałej babci, mającej mu zostawić pięć tysięcy rubli w gotowiznie. Taka właśnie suma potrzebna jest panu Leonardowi na szykowne wyekwipowanie się i urządzenie domu, że zaś poprzysiągł sobie nie zaciągać żadnych długów pod żadnym pozorem, woli zatem odwlekać urzeczywistnienie swego szczęścia, gdyż miłość takich przykładowych młodzieńców umie się zawsze do ich rozsądnych kombinacji zastosować.

W tym roku jednak, może dlatego, że jest to rok ze wszech miar wyjątkowy i w katastrofy obfitujący, na kilka dni przed św. Janem prawidłową wyobraźnię pana Leonarda opanował dziwny niepokój.

Cudowne legendy o kwiecie paproci, zaklętych skarbach, amuletach wiecznego szczęścia zaczęły mu krążyć po głowie, przesładując go przy urzędniczym biurku, przy boku narzeczonej, przy jedzeniu, we śnie, wszędzie. Niepojęte rzeczy działy się z nim; raz nawet zasiadał do pisania wierszy, ale ocknął się w porę, wylawszy sobie karafkę zimnej wody na głowę po dwóch pierwszych rymach.

W końcu pojedyncze te osobliwsze objawy skrystalizowały się w jeden najosobliwszy, w nieprzepartą chęć poszukania w noc świętojańską kwiatu paproci. Z początku pan Leonard odtrącał tę dziwaczną zachciankę z godnym jego trzeźwej natury oburzeniem, ale po długiej walce zdecydował się – jak się decydujemy wziąć numer na loterię, który nam się kilkakrotnie przyśnił – z całą przesadną wiarą w łaskę fortuny.

Byłby przysiągł, że znajdzie cudowne ziele, byle go tylko poszukał. Otóż szukać, to najmniejszy kłopot, ale gdzie? Do lasu przecież w tym celu nie pojedzie, zostało mu jeszcze tyle zimnej krwi, by się takiemu szaleństwu oparł.

Ale pan Leonard rozumował w ten sposób. Ponieważ znalezienie kwiatu paproci jest dziełem cudu, więc cuda mogą się dziać wszędzie i kto ma ten kwiatek znaleźć, znajdzie go choćby na bruku, a już najpewniej w Ogrodzie Saskim. I w myśl tego, logicznego skądinąd, rozumowania postanowił dać się zamknąć na całą noc świętojańską w tymże ogrodzie.

Jeśliby komu takie zuchwałe bohaterstwo w panu Leonardzie wydawało się wprost nieprawdopodobnym, dodam, iż w poście był on na odczycie Amundsena i opisy przygód podbiegunowych podróżników natchnęły go już wtedy burzliwą odwagą i żądzą nadzwyczajnych wrażeń, które to nabytki teraz dopiero znalazły swoje zastosowanie.

Tak to oderwane na pozór ogniwa spajają się niewidzialnie w łańcuch jednego czynu.

Pan Leonard zabawił u swojej narzeczonej do dziesiątej, po czym zaopatrując się w parasol na wypadek deszczu i w rewolwer na wypadek złodzieja, wsunął się chyłkiem do Ogrodu Saskiego. Zdawało mu się, iż ma wypisane na plecach, że on tam, wbrew przepisom policyjnym, noc przepędzić zamierza. Przechodząc koło budki stójkowego, spuścił oczy mimo woli, rumieniec wstydu okrył mu czoło pod rondem kapelusza i dotkliwy wyrzut ścisnął jego lojalnym sercem. On, natura taka obowiązkowa, że każda czynność nieujęta w pewne reguły, nieobciążona jakimś nakazem, wydawała mu się karygodną swawolą, on za godzin parę stanie się burzycielem porządku publicznego, kandydatem do noclegu w cyrkule², gdyby go na gorącym uczynku schwytano.

Już chciał się cofnąć, ciągniony wstecz przez wszystkie obywatelsko-filisterskie instynkty, jakie się w nim wzbudziły, ale kwiat paproci zwyciężył i w chwilę potem pan Leonard zagłębiał się śpiesznym krokiem w ogrodową aleję.

² *Cyrkul* – komisariat policji w zaborze rosyjskim.

Usiadł na ławce, by nabrać sił do czekających go wzruszeń. Migające pomiędzy drzewami światła zataczały w wilgotnym, chłodnym powietrzu żółte kręgi, o rozmytych strzępiastych konturach, ciężkie od deszczu liście szeleściły leniwie, chmurne obłoki płynęły jeszcze leniwiej ponad wierzchołkami kasztanów. W alei było tak ciemno, że pan Leonard zaledwo mógł rozróżnić siedzące z rzadka na sąsiednich ławkach pary, których rozmowy zlewały się w ciągły szept niewyraźny, będący jakby jednym charakterystycznym głosem, ale nie żadnej ludzkiej istoty, lecz samego ogrodu. Trzeba tego posłuchać, żeby wiedzieć, jak w ciche, letnie, ciemne wieczory gada Ogród Saski. Kiedy niekiedy rozległy się kroki, zachręściła suknia kobieca, zaświeciły kobiece oczy i męski papieros, tuż koło pana Leonarda wymówione w przejściu słowo zadźwięczało mu w uszach, po czym wszystko cichło, tylko ogród sam wypowiadał dalej spod pni kasztanów swoją letnią bajkę; bajkę realistyczną w treści, o fałszywie poetycznym stylu.

Pan Leonard siedział i słuchał, i myślał, czy jest na świecie drugi równie piękny i wymowny ogród?

Nagle zrobiło się w nim bardzo gwarno. Od strony stawu i głównej alei buchnęły zmieszana fala śmiechu, wykrzykniki i liczne stapania. To rozbawiona publiczność letniego teatru rozchodziła się do domów.

Pan Leonard drgnął na ławce i powstał. Głuche trzeszczenie grzechotki odezwało się naraz w kilku punktach ogrodu, niby tajemnicze sygnały niewidzialnych band rozbójniczych.

Panu Leonardowi zrobiło się po prostu słabo. Instynktownie poskoczył w zarośla i stał tam nieruchomy, wciskając głowę w ramiona i starając się zrobić jak najcieńszym i jak najbardziej do krzaka bzu podobnym. Serce ledwo mu nie wyskoczyło z piersi; zdawało mu się, że bije w nim sto nowych tętn, o których istnienie nie byłby nigdy podejrzewał swego organizmu.

Niechby go tak dozorca zobaczył! Nie tylko żeby go pozbawił możliwości znalezienia kwiatu paproci, ale z pewnością nie uwierzyłby poetycznym pobudkom, które skłoniły pana Leonarda do schowania się w krzaki, i przypisałby mu jakie niegodziwe cele, równające go ze zwykłym włóczęgą.

Na szczęście żaden dozorca w krzaki zaglądać nie myślał. Grzechotki, warknąwszy jeszcze kilka razy krótko i gniewnie, jak usypiające psy, zamilkły, wszystkie ławki i aleje opustoszały, ogromna cisza zaległa cały ogród.

Pan Leonard zdziwił się najprzód tej ciszy, a potem się jej dopiero przestraszył. Takim nigdy jeszcze Ogródu Saskiego nie widział, nie wyobrażał go sobie nawet. Zrobiło to na nim takie wrażenie, jak gdyby jego dobry, gadatliwy, pstro ubierający się przyjaciel położył się nagle na katafalku, cały w czerni, z milczącą na wieki twarzą.

Tak, Ogród Saski skończył. Zaprzestał wciągać w siebie życie miejskie swymi siedmiu bramami, zgasł, znieruchomiał. Nurtowało w nim wciąż wprawdzie inne, potężne życie, dyszała natura i mówiła każdym szmerem liścia i trawy, każdą wonią, każdym szelestem ptaka budzącego się w gnieździe, ale pan Leonard, szczerze dziecię bruku, życia tego nie czuł, nie pojmował. Dla niego Ogród Saski był w tej chwili trupem, a on znajdował się wewnątrz tego trupa. Brr!

Włosy stanęły mu na głowie, gdy chcąc wyjść z krzaków, zachrząścił gałęziami. Ten suchy odgłos przejął go takim dreszczem, jak gdyby widok poruszającego się całunu.

I jak nie wierzyć tu w czary nocy świętojańskiej! Nie istne to czary, że on, człowiek ze stanowiskiem, przyjmujący bez drżenia wiadomość o przyjeździe samego dyrektora towarzystwa ubezpieczeń, tak się w tej chwili trzęsie i boi!?

Heroicznym skokiem wydobywszy się z krzaków, począł biec szybko aleją, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo. Ciemne masy drzew rozstępowały się przed nim i zamykały w milczeniu,

niby zakłète wrota, tworząc po obu bokach drgające, szeleszczące otchłanie, pełne przerażających tajemnic.

Pan Leonard doznawał w okolicy karku i ramion dziwnie przykrego uczucia, jak gdyby niewidzialna jakaś ręka schwycić go miała lada chwila. Tak dobiegł aż do wodotrysku. Tu było trochę widniej i przestronniej. Turkot dorożki przejeżdżającej Saskim Placem wpadł pomiędzy filary i nappełnił otuchą zamierające serce pana Leonarda. Ten odgłos znajomy przypomniał mu sąsiedztwo ukochanego miasta, całą piękną prozę tego życia, do którego za kilka godzin wróci, aby jej już nigdy nie porzucić, wyleczony raz na zawsze z fantastycznych zachcianek. Odurzająca woń róż podnosiła się z kwietników, zielonawe ogniki robaczków świętojańskich migwały w trawie i na liściach; w oddali pomiędzy rzadniejącymi pniami drzew przebłyskiwał słabo staw, niby tafla czarnej lawy; w górze ciężka chmura przedarta ukośnie, ukazywała szmat chorowito bladego nieba.

Pan Leonard spojrzał na zegarek. Obie wskazówki stały na dwunastej. I nagle, jakby pod działaniem uroku tej czarnoksiężskiej godziny, dokoła niego i z nim samym zaczęły się dziać nadzwyczajne rzeczy.

Róże zapachniały tak narkotycznie, że panu Leonardowi zakręciło się w głowie, a świętojańskie robaczki błysnęły takim jasnym snopem światła, iż olśniony przymknął oczy... Chciał iść dalej, lecz ku najwyższemu przerażeniu uczuł, jak gdyby stopy jego przebijały ziemię i wrastały w nią, przemieniając się w długie, czołgające korzenie. Jednocześnie wydało mu się, że zamiast rąk posiada długie łodygi o wachlarzowych liściach, że mu na takie łodygi cały tułów podarto, a w głowie pękło mu coś, jak gdyby się czaszka rozstała na dwie połowy. Ogarnął go wilgotny chłód leśnej ustroni, zaczął się chwiać... chwiać... tracąc świadomość dotychczasowego swego istnienia.

Inne władze nie opuściły go przecież.

Usłyszał wyraźnie wielki jakiś szum dokoła, jakby gromady zlatujących się ptaków, dziwne głosy zaczęły się odzywać ze wszystkich stron:

– Patrzcie! Patrzcie!

Pan Leonard przestał się już bać; tylko nic a nic tego, co się z nim działo, pojąć nie mógł.

Wtem rozległo się grzmiące pytanie:

– Kto jesteś?

Pan Leonard z dziwną przytomnością umysłu wymienił swoje nazwisko, dodając:

– Urzędnik w towarzystwie ubezpieczeń.

– A czym chciałeś być?

Pan Leonard zdziwił się.

– Jak to czym? Tym, czym jestem. Sobą i urzędnikiem w towarzystwie ubezpieczeń!

– Słyszycie! Słyszycie! – zaszemrały dokoła głosy. – Jest, czym chciał być! Szczęśliwy! Szczęśliwy!

Najpotężniejszy z głosów badał dalej:

– Czy walczyłeś kiedy z twoimi przekonaniem? Czy ponosiłeś dla nich jakie ofiary?

– Ja nie mam takich przekonań, z którymi potrzebowałbym walczyć lub dla których ponosić ofiary – odparł pan Leonard. – Dzięki Bogu, nie zbywało mi nigdy na rozsądku.

Ten sam chór co poprzednio dał się słyszeć:

– Szczęśliwy! Szczęśliwy!

– Czy nie dostałeś kiedy pierwszej nagrody na konkursie? – pytał tajemniczy głos.

– Nigdy! – odpowiedział pan Leonard mocno zdziwiony.

– Szczęśliwy! Szczęśliwy! – zaszemrano znowu.

– Czy nie dręczyła cię żądza sławy? Tęsknota za ideałami życia? Pragnienie nieśmiertelności, ciekawość nieświadomego?

– Powiedziałem już – odparł pan Leonard z naciskiem – iż jestem człowiekiem rozsądnym i podobne mrzonki przystępu do mnie nie mają.

– A znasz ty, co to jest ból ukryty, ciągły, towarzyszący ci wszędzie, gdzie się obrócisz, ból, na który lekarstwa nie ma, chyba że się go wraz z jego siedliskiem z piersi wyrwie?...

– Owszem – odpowiedział pan Leonard – doświadczałem takiego bólu, tylko nie w piersiach, lecz w dziąsłach i poradziłem sobie, jak mówisz: kazałem wyrwać ząb. Odtąd nic mnie już nie bolało. Jestem zdrow zupełnie...

– Nie chodzi tu o cierpienie fizyczne – przerwał głos – ale jeżeli w takim tylko duchu pojąłeś moje pytanie, tym lepiej dla ciebie.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Powiedz mi teraz – odezwał się tajemniczy badacz – jakim sposobem znajdujesz się tutaj o tej porze? Podobni tobie ludzie zasypiają w tej chwili smacznie przy zamkniętych na klucz drzwiach i pozapuszczanych roletach.

– Masz słuszość – potwierdził pan Leonard. – Pierwszy i ostatni raz w życiu zrobiłem takie głupstwo i nie mogę go odżałować. Chciałem poszukać kwiatu paproci. Przeczucie mówiło mi, że go znajdę, ale widzę, że nigdy nie warto zważać na takie romantyczne brednie, jakimi są przeczucia i świętojańskie noce.

– Człowieku, nie bluźnij! – zawołał głos. – Jeżeliś nie wiedział dotychczas, że nosisz w sobie cudowny talizman doskonałego szczęścia na Ziemi, to w tej chwili przekonać się o tym możesz. Alboż nie czujesz, że stałeś się paprocią, która mocą świętojańskich czarów zakwitła w twym samolubnym, chłodnym sercu i twojej praktycznej głowie? Ciebie teraz powinien znaleźć jaki marzyciel, poeta, filantrop, bo to są biedne dusze, na które czyha tysiące niedostępnych tobie udręczeń, niepojętych dla ciebie rozczarowań, niezaznanych przez ciebie dążeń. Wierzaj mi, w takim tylko ciasnym

kółku własnych potrzeb, na takim tylko płaskim zagonie osobistych karłowatych uczuć rozwija się kwiat paproci: zupełne zadowolenie z życia i z siebie. My, duchy świętojańskich tajemnic, otaczamy cię w tej chwili kołem i cieszymy się, patrząc na to rzadkie widowisko. Gdybyś mógł widzieć, jaka z ciebie ładna, rozłożysta paproć i jak pięknie kwitniesz!

– Ja, kwitnę! – wykrzyknął pan Leonard i chociaż już rąk nie miał, zrobił taki ruch, jak gdyby sobie chciał urwać tę kwitnącą głowę.

I musiał ją urwać istotnie, bo nagle wszystko uciekło i znikło, a on sam pograżył się w jakąś bezdenną nicość...

Wyrwało go z niej mocne szarpnięcie za ramię.

Pan Leonard otworzył oczy i zobaczył, że jest biały dzień, że on sam leży na ławce, że trzyma w ręku prześliczną, zapewne z sąsiedniego krzaka oberwaną przez sen różę, a przed nim stoi stróż ogrodu i pyta go z groźną miną, dlaczego tu noc przepędził, dlaczego zrobił szkodę i czy nie wie, czym to pachnie?

Zbytecznym byłoby dodawać, iż pan Leonard nie opowiadał mu swoich romantycznych przygód, lecz prozaicznie sięgnąwszy do portmonetki, uspokoił skutecznie drażliwość tego męża. Następnie wrócił do domu i położył się do łóżka, wypiwszy szklankę malinowego odwaru na poty, jako zabezpieczenie przeciw możliwemu po przespanej pod gołym niebem wilgotnej nocy katarowi.

Można prawie ręczyć, iż to był jego pierwszy i ostatni wybryk!





*Prawda ma zawsze tysiąc twarzy,
tak jak każda twarz
ma zawsze tysiąc prawd.*

autor nieznany

3.

Zoska Papużanka

PAN PARASOL

Jakoś to wytłumaczy. Wytłumaczy się jakoś. Z tego. Tłumaczenie się nie może być trudne, ludzie się tłumaczą codziennie, niektórzy nawet po kilka razy, otrzepują się tanią wymówką jak mokry pies i odchodzą do dalszych rzeczy, których nie zrobią, do terminów, których nie dotrzymają, zadań, z których się nie wywiążą i będą musieli znowu się tłumaczyć. Czasem mówią prawdę, pies zjadł mi zadanie z matematyki, uczestniczyłem w wypadku i policja mnie przesłuchiwała, w ogóle się z tym panem nie spotykam, a jeśli, to był jeden jedyny raz i na pewno on dosypał mi czegoś do herbaty. A czasem kłamią w żywe oczy, po prostu zapomniałem, szefie, nie umiem sobie z tym poradzić, nie możemy dłużej być razem i nie potrafię wyjaśnić dlaczego, nie wiem po prostu. On wiedział. Wiedział, że nie wolno mu powiedzieć prawdy, bo jego prawda jest kłamstwem, kłamstwem tak niskim, tak banalnym, że nie dałoby się go wymyślić. Ale wytłumaczenie musi się dać wymyślić, powinno być proste jak drut, ale nieprawdziwe.

Nie można powiedzieć prawdy, prawda się jej nie należy. Nie wolno jej okłamać, nazbyt jest lojalna, zbyt uczciwa wobec niego, z zawstyżeniem naciskająca klamkę do małego pokoju, położonego tuż przy wejściu, na lewo od głównych drzwi mieszkania, które znał, jak mu się wydawało, ale przekonał się, że się mylił. Małe drzwi, za którymi nigdy nie był, sugerujące raczej łazienkę czy garderobę, pokój nieukryty, a więc najtrudniejszy do znalezienia. I ona, naciskająca klamkę z większym skrępowaniem, niż gdy pierwszy raz, niechcący albo celowo, dotknął pod stołem jej stopy swoją stopą i nie zamierzał jej cofnąć, ona, pewna już swoich uczuć, upewniona ciężarem klamki, muszę ci coś pokazać, dwie wysokie komody pełne szuflad, muszę ci pokazać, musisz wiedzieć. Wyjaśnię ci, chociaż wyjaśnić się nie da. Zdarza mi się to nieustannie, chyba zaczęło się jakoś na początku liceum, musisz wiedzieć, jeśli chcesz tu zostać, skoro ja chcę, żebyś tu został, zostań w tym pokoju, mieszkaniu, zostań na noc, ze mną, na życie zostań. I on, który już wie, że zostać nie może, ale że to się da wytłumaczyć. On wytłumaczy, ona zrozumie. Byle się powstrzymać przed powiedzeniem prawdy. Na razie cokolwiek, jak obiad na szybko, przypomniałem sobie o czymś ważnym, muszę cię przeprosić, źle się czuję, to chyba szarlotka, zjadłem za dużo szarlotki, muszę wrócić i zażyć lekarstwa, zadzwonię jutro, obiecuję, no przecież, a na razie cokolwiek, szybka wymówka, żeby zostawić ją z otwartymi ze zdumienia ustami i otwartą szeroko szufladą komody, zadzwonię, i zbiec po schodach, szybko, jak najszybciej.

Podniósł głowę. Nie padało.

Powinien gdzieś tu być. Na pewno w parku albo w koszu na śmieci, albo na ławce przy placu zabaw. Ciekawe, jaki dzisiaj.

Zabierz parasol, powiedziała mama, zaczyna kropić, usłyszał jej głos na schodach, gdy zbiegał nimi szybko w dół, szybko, jak najszybciej, nie mam czasu, krzyknął, trudno, niech kropi. Parasol

leżał na klatce schodowej przy wejściu. Leżał i czekał. Trzeba było go przesunąć, aby otworzyć drzwi, jakby celowo zastawiał sobą wejście. Rzeczywiście kropiło. A parasol czekał, żeby go zabrać i nie zmoknąć. Zwykły czarny parasol, nieduży, lekki, z jednym drutem nieco wygiętym. Bardzo zmokłeś, zapytała mama, gdy wrócił. A mówiłam, żebyś zabrał parasol. Nie zmokłem, znalazłem parasol na dole. Gdzie na dole. Na klatce schodowej, tuż przy wejściu. Pewnie któregoś sąsiada. Rozłóż ten parasol w wannie, niech wyschnie, a potem oddaj. Komu. Nie wiem komu, musisz się przejść po mieszkaniach i spytać. Ale o co mam spytać. Znalazłem parasol, czy to nie pani albo pana.

Znalazłem parasol. Znalazłem parasol. To zdanie pojawiało się w jego życiu częściej niż deszcz. Czarny parasol wyschł, poszedł się przedstawić sąsiadom, ale żaden z nich nie był jego starym właścicielem ani żaden nie chciał być nowym. Parasol został, mama postawiła go nosem w dół w niewielkim wiklinowym koszu obok swojej parasolki w kratkę i drugiego, smukłego, starego parasola po ojcu, który odszedł kiedyś przy pięknej pogodzie bez żadnego wytłumaczenia.

Zabierz parasol, krzyczała mama, będzie padać cały tydzień. Nie chcę się spóźnić, odkrzyknął, niech pada, nie martw się. Ale i tak się martwiła.

Drugi parasol znalazł następnego dnia w tramwaju. W tramwaju ludzie gubią najwięcej rzeczy, przestają iść i zapominają, co mieli przy sobie. Drugi parasol był wilgotny i ogromny, mógł zmieścić pod sobą matkę i syna, gdyby zechcieli iść razem na spacer, na który nigdy razem nie chodzili.

Znalazłem parasol. Znowu znalazłem parasol. Znowu. Znowu. Pytałem w tramwaju, ale nikt nie zgubił. Jak to nikt nie zgubił, ktoś przecież musiał zgubić, skoro ty znalazłeś. Daj mu wyschnąć i postaw obok reszty.

Znalazłem parasol. Ale przecież dzisiaj nie pada. No właśnie, więc ten jest nikomu niepotrzebny, zaśmiał się, odkładając czarny automat z niewygodną do trzymania, plastikową kulą zamiast wygiętej rączki, do wiklinowego kosza z parasolową rodziną przybłądów. Znalazłem parasol. Znowu. Mógłbyś czasem znaleźć pieniądze. Ale znalazłem parasol. A ja właśnie wyrzuciłam kilka, chyba z dziesięć, wyniosłam na śmietnik, nie mogę już na nie patrzeć, może się komuś przydadzą. Na co nam tyle parasoli, nie mamy nawet tylu rąk. Za chwilę będzie nas jeszcze mniej, powiedziała mama, i to była prawda, zostaniesz sam ze swoimi parasolami. Dlaczego właśnie ty je znajdujesz, dlaczego musisz je znajdować. Nie wiem, ludzie ciągle gubią parasole, musi być zatem ktoś, kto je znajduje. Nie umiem tego inaczej wyjaśnić. Ale po co je ze sobą zabierasz. Rozumiem, widzisz, że leży parasol. W parku leży na ławce, w sklepie, na poczcie leży i płacze. To zauważ, że leży i że jest sam, jeśli już musisz zauważyć, ale po co go zabierasz do domu. Nie wiem, muszę i już. Ludzie gubią parasole. Ja jestem tym, kto je znajduje i zabiera do domu.

Powiedział to. Powiedział tę prawdę, a może kłamstwo, dziewczynie, z którą chciał się ożenić. Jeśli się zgodzisz, musisz wiedzieć, że znajduję parasole. Ciągle. Znajduję i zabieram je do domu. Nie rozumiem, odparła, co to znaczy ciągle. Ile znalazłeś już parasoli, zaśmiała się. Nigdy nie liczyłem, to się zaczęło jakoś na początku liceum, moja mama raz na jakiś czas zbiera po kilka, kilkanaście i wyrzuca albo znosi do domu pomocy społecznej. Nie wiem ile, nie liczę, tylko znajduję. Ale ile znajdujesz, jak często. Różnie, trzy, cztery w tygodniu. Więcej, gdy pada. Najdłuższą przerwę miałem dwutygodniową, ale byłem wtedy chory, znalazłem tylko jeden w poczekalni w ośrodku zdrowia. Zepsuty. Zepsuty to ty jesteś, powiedziała dziewczyna, która została jego żoną, bo myślała, że kłamie, a mówił prawdę. Albo na odwrót.

Potem odeszła bez wyjaśnień, bo tak robią ludzie, którzy boją się powiedzieć prawdę albo nie potrafią skłamać. Odeszła w kwietniu, zapamiętał, ponieważ był sezon na burze wiosenne i znalazł wtedy śmieszny parasol, głęboki i ciasny jak kapelusz młodego borowika, zupełnie przezroczysty. Wspaniały parasol, pomyślał. Niby chroni przed deszczem, ale niczego nie można pod nim ukryć. Parasol – paradoks.

Czy ktoś spośród naszych znajomych nie dostał od nas parasola, zapytała żona, gdy jeszcze była obok, gdy chciała być. Chyba wszyscy już dostali. Może zrobisz wystawę parasoli w muzeum. Albo oddaj je jakiemuś artyście na potrzeby happeningu, widziałam gdzieś, w jakimś mieście, ulicę z kolorowymi parasolami zawieszonymi ponad głowami ludzi. Ochrona. Tego mi brakuje, pomyślała, ale nie powiedziała, bo takich rzeczy się nie mówi, zwłaszcza jeśli planuje się odejść bez wyjaśnień.

Sprawiła mu przykrość swoim niewyjaśnionym, niewytłumaczalnym odejściem. Zabrała swoje ubrania, buty, pachnące nią kosmetyki i całkiem sporo książek. Zrobiło się więcej miejsca na parasole.

Pierwszy raz się z czymś takim spotykam, nie wiem, może niech pan gdzieś wyjedzie, weźmie sobie dłuższy urlop, zaproponował lekarz. Już próbowałem, to nic nie da. Wyjechaliśmy z żoną, gdy znalazłem parasol ogrodowy, wie pan, taki duży, jak do stolika w restauracji, to już jest przesada, jak pan uważa. Żona ode mnie odeszła, ale chyba nie z tego powodu, taką mam przynajmniej nadzieję. Wyjazd nie pomoże, parasole są wszędzie. Z każdej podróży przywożę po kilkanaście, rozdaję ludziom na lotnisku, żeby nie płacić za nadbagaż. Ale pan sobie ze mnie nie kpi, prawda. Prawda, powiedział, nie kpię. Ale może nie tylko prawda, może kłamstwo też, przecież prawda i kłamstwo mogą istnieć równocześnie, jedno w drugim. Chce pan coś nasennego, spytał lekarz. Nie, dziękuję, nie mam kłopotów ze snem. Ja tylko znajduję parasole.

Najwięcej miał małych, czarnych, grzecznych parasoli, mieszczących się w torebce, parasoli na wszelki wypadek, parasoli a jeśli, a co mi szkodzi, parasoli lepiej dźwigać niż ścigać, jak mawiała babcia z Pomorza, parasoli on się źle otwiera, ale jest taki poręczny. Niektóre dawały się znaleźć już w futerałach i spały w nich snem stuletnim, nie rozwijając się na deszczu. Większość nie miała jednak kolorowych trumienek (musi być ktoś, kto znajduje futerały od parasoli, powinien przecież być), dawno urwał im się guzik, rzep czy kawałek materiału z zatraskiem, i wymagały oparcia o inne parasole, by stały grzecznie i nie otwierały paszcz. Czasem któryś osuwał się w dół, jakby chciał umrzeć, i na ten sygnał całe stado otwierało się w jednej chwili, bucząc jak czaple na wiosnę.

Uśmiechał się do parasoli spotykanych w tramwaju, wystawiających ciekawskie głowy spod pach właścicieli lub stojących jedną nogą w powiększającej się kałuży. Któregoś dnia, myślał do nich, któregoś dnia.

Najbardziej lubił czarne, najzwyczajniejsze, z drewnianą, zagiętą rączką, wygodną do trzymania jak ramię bliskiej osoby, która jest zawsze, nie tylko wtedy, kiedy chce. Dłubał w zacinających się mechanizmach, litościwie prostował druty, wygięte wiatrem i czasem.

Czarne parasole, najbezpieczniejsze, najpopularniejsze, zimowe gawrony pod brudnym niebem. Czarnych miał najwięcej. Kiedyś wsadził ich ponad dwadzieścia do ogromnej torby, wywiózł nad rzekę i, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, otwierał czasie i układał je kolejno na wodzie, nadając gawronom majestat czarnych łabędzi. Był dumny z ich niezależności, gdy odpływały, ale zdumiała go myśl, że tęskni. Innym razem, podczas szczególnie obfitych zbiorów, gdy jego miastu groziła powódź, bo padało nieustannie przez trzy tygodnie, rozdał kilkanaście przechodniom podczas spaceru. Wrócił do domu inną drogą, zadowolony, że znalazł tego dnia tylko trzy.

Zdarzały się parasole wyjątkowe, krwistoczerwony, beczelnie żółty jak słonecznik, należące do przedszkolaków parasole z uszkami i nosami zwierząt, parasol w kształcie serca, czarne parasole z błękitnym niebem i białymi chmurami w środku. Śmieszyły go parasole składane odwrotnie, niż ludzie są przyzwyczajeni, wyglądające po złożeniu jak spódnica na wieszaku. Ciekawe, kto je wszystkie kiedyś kupił albo znalazł, kto z nimi spacerował, kto i kiedy o nich zapomniiał, myślał. Nie, nie myślał. Myślał tylko o parasolach, nigdy o ludziach, którzy chronili się pod nimi i którzy je porzucili.

Próbował.

Próbował szukać właścicieli. Przyklejał na drzewach i płotach ogłoszenia, gdy miał wrażenie, że stary parasol tęskni do starej właścicielki, dla której jest jedynym parasolem. Żaden stary ani nowy właściciel nigdy się nie zgłosił. Widocznie parasole nie są ludziom tak bardzo potrzebne, jak mogłoby się wydawać.

Wzruszał go parasol firmy Bugatti, niewielki, antracytowy, z zachwycająco zagiętą rączką z drzewa kasztanowca. Nie rozumiał, jak można zgubić taki piękny parasol. Dwa razy upolował eleganckie parasole Guy de Jean z rzeźbionymi rączkami w kształcie kaczki i zająca, który dawał się posłusznie trzymać za słuchy. Na kilku portalach internetowych zamieścił ogłoszenie, gdy uświadomił sobie, jaką wartość ma parasol Pasotti, który powinien zgubić się w Mantui, a nie gdziekolwiek, ze swoim ręcznie wykrawanym poliestrem w jodełkę i skórzaną rękojeścią, która miała sprawiać wrażenie bliskości, jedności ręki z parasolem, a stwarzała międzyparasolowy dystans. Profesor Pasotti spędzał samotnie czas w szafie, czasem tylko wolno mu było przejść się na świąteczny spacer i otworzyć zwieńczoną wysokim czubkiem głowę w miejskim, zwykłym, niemantuańskim parku, gdzie nikt się za nim nawet nie obejrzał. Czasami, gdy było ładnie, zabierał profesora Pasottiego, czasem ten przezroczysty, przez który widać świat, czasem

inny parasol na świeże powietrze, uwalniał spomiędzy pomiętych fragmentów materiału, rozpiętego na drutach, przejmujący zapach ostatniego deszczu, tego, którego nie znał. Wieczorami sprawdzał prognozę pogody na następny dzień. Nigdy nie wychodził do pracy z parasolem, nawet wtedy, gdy zapowiadano opady. Po co.

– Ładny parasol – powiedziała.

Musiał coś odpowiedzieć, wypadało odpowiedzieć, zresztą od dawna do nikogo się nie odzywał.

– Dziękuję – odpowiedział.

I tak powstał pierwszy dialog w opowiadaniu. Ona była jeszcze nikim, zwykłą osobą, która stanęła obok niego w autobusie i zachowała się uprzejmie wobec parasola. On też jeszcze był nikim poza tym, że od dawna nie zanotował żadnego dialogu, same opisy przyrody, pada, świeci słońce, znowu pada i będzie padało, i musiał coś odpowiedzieć, żeby na początek nie skłamać ani nie zasłonić się prawdą. Co miał zresztą powiedzieć. Parasol, znaleziony kilka minut wcześniej, czekający na niego na przystanku autobusowym, na którym wsiadają ludzie, a czekają parasole, rzeczywiście był ładny. Z zewnątrz czarny, po rozłożeniu prezentował ciemnoczerwone wnętrze, wyglądał jak serce ukryte pod jakimś niewymownym żalem.

Może lubiła czerwień, kto to wie, miała czerwoną, niewielką torebkę i czerwone kulki kolczyków; może lubiła parasole, kto to wie, ale fakt, że pochwaliła parasol, pozwolił pomyśleć znalazcy parasola, że może jeszcze nie pora na szpital psychiatryczny ani na samobójstwo. Może jest na tym świecie szansa dla ludzi z ciemnoczerwonymi sercami, schowanymi w klatce z połamanymi drutów. A może nie ma, może po prostu chciała zachować się miło i powiedziała cokolwiek, bo od początku opowiadania nie było żadnego dialogu.

Opisy przyrody przeszły w dialog, spacerowali i rozmawiali, pili piwo albo kawę i rozmawiali, z początku o początkach, przecierając szlaki ogólnodostępną grzecznością, badając teren, z każdym

kolejnym dialogiem odsłaniając własne didaskalia. Opowiedzieli sobie o nieudanych związkach, o obgryzaniu paznokci, porzuceniu szkoły muzycznej, zawaleniu egzaminu na drugim roku studiów, nadopiekuńczych rodzicach. Śmiali się z miłości do komedii romantycznych, nieudanej próby opanowania języka norweskiego i z jednorazowego pójścia do łóżka z byle kim. Skłamali o tym, co było prawdziwe, powiedzieli prawdę o tym, co było kłamstwem. Oboje lubili w sobie nawzajem tę ramę, która z każdym dniem, z każdym spotkaniem i dialogiem przesuwała się nieco, odsłaniając kolejny fragment płótna, ale wciąż jeszcze była, wciąż miała do ukrycia wiele z tego, co niepoznane. Byli sobie ciekawi i celowo ciekawość przeciągali, przedłużali jak smycz dla szczeniaka, mądrzejszego z każdym dniem. Przyznał się jej, że maniakalnie sprawdza prognozę pogody, z ulgą przyjmując jej zrozumienie. To oczywiste, powiedziała, każdy chyba to robi, ja na przykład lubię wiedzieć, jakie ubranie przygotować, co zabrać ze sobą na wypadek, gdyby. Wiedział, że kiedyś będzie musiał jej powiedzieć, odsłonić się, jeśli. To konieczne. Ludzie tak robią, odsłaniają się, a potem się tłumaczą.

Siedzieli u niej pewnego rozpoczętego wieczoru, z rozpoczętą butelką wina na nierozpoczętej kanapie. Wszystko się dopiero miało rozpocząć, czas, który mogliby czasem nazwać, dopiero się skradał; w takich momentach najłatwiej jest zakończyć wszystko.

Lubił ją. Lubił trzy półki z kryminałami, które czytała, bo wszyscy czytali, a potem nie pamiętała, kto zabił. Lubił ruch, którym zdejmowała okulary, lubił jej szarlotki i serniki, nawet kiedy zjadał o jeden kawałek za dużo. Lubił nieśmiałość jej rąk, czekających grzecznie na stole i zaczynających niespodziewanie żyć własnym życiem, gdy ona przymykała oczy, gdy ją całował, a jej dłonie wędrowały po nim z zapalem i ciekawością dwóch kociąt. Lubił jej ręce i oczy, patrzyła uważnie, dotykała bez namysłu.

Ona też go lubiła. Lubiła, że pozwalała jej rękom wędrować po sobie bez mapy, że prosi o jeszcze jeden kawałek sernika, że spokojnie słucha, co u niej w pracy, co ją cieszy, czego się obawia. Lubiła go po prostu i wiedział, że ona go lubi, dlatego musiał jej powiedzieć. Ale to ona go uprzedziła.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiła, wstając. Kończąc w najlepszym momencie, zanim się zaczęło, choć przecież nie wiedziała ani nie chciała. – Właściwie nawet nie powiedzieć, pokazać. I wyjaśnić. Zdarza mi się to od dawna, chyba od początku liceum. Ojciec na mnie krzyczał, kazał mi to wyrzucać, mama czasem gdzieś wносиła pełne reklamówki, nawet nie wiem gdzie. A ja przywykłam, po prostu przywykłam. Komuś się to przecież musi zdarzać.

Otworzyła przed nim drzwi po lewej stronie od wejścia, drzwi, na które wcześniej nie zwrócił szczególnej uwagi, a teraz przyszło mu do głowy, że można się za nimi spodziewać niewielkiej garderoby, półek z butami, wieszaków na płaszcze, ewentualnie słoików z przetworami, nie mam piwnicy, a tak bardzo lubię ogórki i dżem z czarnej porzeczki, dam ci słoik. Ale nie mamy tego, czego się spodziewamy, chyba po prostu nie ma na świecie tego, czego się spodziewamy, zamiast słoików z przetworami – dwie komody pełne szuflad, muszę ci powiedzieć, musisz wiedzieć, skoro chcesz zostać, skoro ja chcę, żebyś został i proszę cię, żebyś został ze mną, przecież wszystko jest tak dobrze, nic się nie może stać, a jeśli się stanie, to się jakoś wytłumaczy.

Musisz wiedzieć, mówi ona, zdarza mi się to nieustannie, od liceum, co najmniej trzy razy w tygodniu, ale to się da wyjaśnić, próbuję sobie w każdym razie jakoś to wyjaśniać, powiedziała, wysuwając jedną, potem drugą, trzecią i kolejną szufladę w komodzie stojącej naprzeciwko drzwi, dużej, drewnianej komodzie, zobacz, powiedziała, jeszcze tutaj, i wystawiła szufladę z drugiej komody, zupełnie jakby pokazywała mu język, zobacz, co ludzie gubią najczęściej.

– Wiesz, co ludzie gubią najczęściej? – zapytała.

Wiedział. Ale jego prawda była jej kłamstwem.

– Rękawiczki, oczywiście. Rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne – odpowiedziała, bo nie znał odpowiedzi albo jego odpowiedź była nie dla niej. – Okulary mają prostsze życie, są zawsze podwójne, ale rękawiczka gubi się jedna, samotnie, to nie może być nic miłego. Spójrz.

Spojrzał, chociaż bał się. Nie tego, co zobaczył, dlaczego bać się szuflad wypełnionych rękawiczkami bez pary i okularami przeciwsłonecznymi, nie ma w tym widoku nic strasznego. Bał się, że zobaczy i że będzie wiedział, co dalej.

– Ja je po prostu znajduję. Wszędzie, w autobusach, w parku, w cukierni, w kinie, w kościele. Próbowałam szukać właścicieli, oddawać je komukolwiek, wyrzucać, gubić, tak jak inni gubią. To nic nie daje. To jak choroba skóry, można podleczyć, ale wraca. Są ludzie, którzy gubią okulary i rękawiczki, a skoro są, przecież musi być ktoś, kto je wszystkie znajduje, prawda?

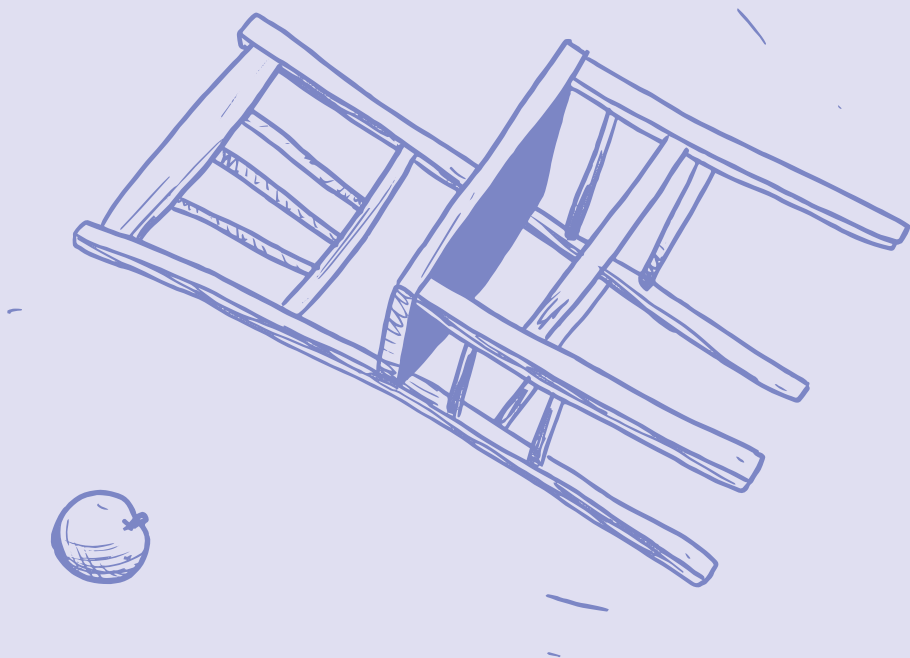
Spojrzały na niego setki oczu, czarnych i brązowych, kilka zielonych, niebieskich, nawet różowe. Dziesiątki, setki okularów przeciwsłonecznych, tandetny plastik znad morza, kupiony na szybko, żeby tylko upał mniej przeszkadzał, przezroczyste, plastikowe, metalowe ramki, ramki w ciapki, w gwiazdki, kwiatki i kółka, i przemysłane, drogie, eleganckie szkła, okulary, których być może ktoś kiedyś długo szukał, a które teraz leżały w czyjejś szufladzie, bo musi być ten ktoś, kto je znajduje, prawda. Okulary z imponującym logo firmy, leżące w osobnej szufladzie, wyeksponowane jak na wystawie sklepu, i okularowa hołota w tanich oprawkach, poskręcanych, połączonych, splecionych ze sobą jak paralitycy w jakimś zapomnianym przez odwiedzających szpitalu. Szkielety z filtrem przeciw promieniowaniu UV.

Dotknęły go setki dłoni, rękawiczki, prawe i lewe, bez żadnej reguły, każda inna. Ciepłe, zimowe, które dają szansę grzać się

wzajemnie czterem palcom, wykluczając kciuk, odtrącając to, co wyróżnia człowieka. Dziecięce rękawiczki z kolorowymi palcami, do których przylepia się mokry śnieg. Długie do łokcia, skórzane rękawiczki, zapinane na wysokości nadgarstka na perłowy guzik. Kilka koronkowych rękawiczek o cienkich palcach nieżywej prababki, cała masa rękawiczek bez palców, nawet ogrodowa rękawiczka z gumową, niebieską powłoką. Najwięcej jednak czarnych i brązowych, zwykłych, skórzanych rękawiczek, najszybciej przyjmujących kształt dłoni, którą w sobie nosiły. Pomyślał, że może warto sprawdzić, czy któraś z tych skórzanych rękawiczek nie pasuje jak ulał do elegancznej rączki któregoś z jego parasoli, zabawa w kopciuszka i bucik, która mogłaby uprzyjemnić jego pobyt w tym mieszkaniu na noc, na całe życie, ale ta myśl była tylko mgnieniem, mrugnięciem powieką, słabością, na którą nie powinien sobie pozwolić, która nie powinna przyjść i nie wolno jej powrócić. Nie dałoby się takiej myśli wytłumaczyć, a teraz trzeba tłumaczyć się szybko, natychmiast, że coś sobie przypomniał, że lekarstwo na zgagę, bo za dużo ciasta, że naprawdę zadzwoni jutro, i szybko w dół schodami, jak najszybciej, wymówka byle jaka, ale jakie to może mieć znaczenie, skoro już go nie ma, skoro zbiegł na parter razem ze swoją byle jaką wymówką, przepraszam, naprawdę muszę, chcesz ode mnie czegoś, czego nie umiem dać, bo to ciągle znajduję.

Dopiero kiedy wybiegł spomiędzy bloków i skręcił w stronę alei drzew, zmierzającej do głównej drogi, poczuł się bezpieczny. Ukryty, schroniony. Rozejrzał się w poszukiwaniu parasola. Powinien gdzieś tu być. Na pewno w parku albo w koszu na śmieci, albo na ławce przy placu zabaw. Ciekawe, jaki dzisiaj.





*Szczęśliwym nie jest ten, kto ma wszystko.
Szczęśliwym jest ten, kto potrafi
docenić to, co ma.*

autor nieznany

4.

Bolesław Prus

DZIWNA HISTORIA

Noc św. Sylwestra. Zegar jasno oświeconej Resursy¹ Obywatelskiej wskazuje dziesięć minut do dwunastej; w salonach jasno oświeconej Resursy Obywatelskiej sześćdziesiąt par kończy ostatniego w tym roku kontredansa; w bufecie jasno oświeconej Resursy Obywatelskiej dwudziestu kelnerów, pod baczным okiem gospodarzy, przygotowuje dwadzieścia butelek szampana.

Jeszcze kilka minut i w jasno oświeconych salonach wyskoczy z butelek dwadzieścia korków, dwudziestu kelnerów, pod baczным okiem gospodarzy, naleje dwieście kieliszków i przy dźwiękach fanfary, skomponowanej wyłącznie na wieczór dzisiejszy, sześćdziesiąt par tańczących, czterdziestu starych panów grających w wista i czterdzieści starych dam drzemiących lub obmawiających wzniosłą zdrowie Nowego Roku.

– Żyj nam i panuj, roku następny! Niech pod twym skrzydłem zwiększą się obroty naszych sklepów i dochody naszych kamienic!

¹ *Resursa* – daw. klub towarzyski.

Niech każda z obecnych tu panien znajdzie męża, każda z mężatek rój wielbicieli, każdy stary jegomość materiał do chwalenia dawnych czasów! Żyj nam, panuj i chroń nasze domy od złodziei, serca od niepokoju, mózgi od wątpliwości, żołądki od niestrawności...

I w chwili, kiedy muzyka gra fanfarę, kiedy w kielichach syczy pienisty szampan, kiedy spojrzenia tkliwe krzyżują się z ognistymi i niejedna ręka tancerza nieznacznie ściska rękę niejednej tancerki, do jasno oświeconego salonu Resursy Obywatelskiej na mgnienie oka zstępuje niewidzialne bóstwo radości. Wszystkim jest czegoś dobrze, tak dobrze, że starzy panowie gotowi są wzdychać do młodych dam, stare damy, nie wiadomo z jakiej racji, gotowe są uronić po kilka łez, gospodarze gotowi są ściskać akcjonariuszów, akcjonariusze podnieść do góry prezesa, a kelnerzy z niepojętą szybkością wypróżnić to, co jeszcze syczy w butelkach.

Zbudzona ich wesołymi krzykami, ocknęła się noc zimowa, i chcąc bodaj raz w życiu zobaczyć, jak wygląda radość, zapuszcza w jasno oświecone okna Resursy Obywatelskiej swoje puste i martwe oko.

– Gdzie jest radość? – pyta się, bijąc w szyby płatami zmarzłego śniegu. – Gdzie tu radość? Pokażcie mi radość... – jęczy głosem wichru, trzęsie ramami okien i uderza głową o ściany.

Ale razem z ostatnią kroplą noworocznego toastu uciekła radość nawet z salonów Resursy Obywatelskiej, i nie ma jej tu. Jest tylko sześćdziesiąt par tańczących pierwszego w tym roku mazura, czterdziestu panów, którzy zasiadają do pierwszego w tym roku winta², i czterdzieści starych dam, które odprawiają pierwszą w tym roku drzemkę balową. Nie ma już radości ani w Resursie, ani poza Resursą, ani nawet na całej kuli ziemskiej. Jest tylko niezmierny płat śniegu, sięgający od Brukseli do Kamczatki, od bieguna do Neapolu, a nad nim czarna, pusta i martwa noc zimowa.

² *Wint* – dawna gra w karty, nieco podobna do popularnego wista.

W mrokach tej samej nocy, która zagłada do okien Resursy Obywatelskiej, wśród tych samych śnieżnych tumanów, które biją w jej jasno oświecone szyby, z wolna toczy się, daleko od wesołej Resursy, pociąg towarowo-osobowy. Najpierw lokomotywa, z której komina, zamiast pary, wydobywają się kłęby śniegu, potem tender³, wyżej naładowany śniegiem niż węglem i wodą, potem wagony towarowe, w których najobfitszym towarem jest śnieg, potem wagony pasażerskie, w których przez okna, zasypane śniegiem, nie widać pasażerów. Śnieg, nic tylko śnieg – na dachach, stopniach i poręczach wagonów, śnieg na wąsach, czapkach i kożuchach służby, śnieg na plancie⁴ drogi, śnieg na prawo i na lewo od plantu, śnieg przed pociągiem i za pociągiem, śnieg od Brukseli do Kamczatki i od Neapolu do bieguna.

O północy, w chwili kiedy do salonu Resursy Obywatelskiej wnoszono butelki szampana, dwaj konduktorzy pociągu weszli do przedziału służbowego, gdzie właśnie nadkonduktor z powierzchnością senatora i telegrafista z miną filozofa pracowali nad odkorkowaniem zwyczajnej wódki.

– Podły czas, niech go pioruny... – mruknął, otrząsając się, jeden z konduktorów, szpakowaty brunet.

– Nie kłąłbyś pan – odparł telegrafista.

– Pięknie zaczynamy Nowy Rok. Psy nie miałyby nam czego zazdrościć – dodał drugi konduktor, z rudym zarostem.

– Nie narzekałbyś – wtrącił telegrafista.

– Nie narzekać... A pamiętasz, gdzieśmy byli o tej porze dieście lat temu? W Resursie Obywatelskiej... Szampanem witaliśmy Nowy Rok! – mówił rudy.

³ *Tender* – daw. pojazd pomocniczy połączony z parowozem, gdzie przewożone są zapasy wody, paliwa oraz potrzebne narzędzia.

⁴ *Plant* – teren przeznaczony na tory kolejowe.